

Dziurawy kondom Jana Pawła II

19 października 2018

40 lat temu Karol Wojtyła został papieżem. Najchętniej mówił o seksie.



Wśród dziesiątków hołdów wystosowanych pod adresem J.P.2 z okazji jego ostatniego awansu (lub przedostatniego, jeśli liczyć kanonizację) najbardziej zachwycił mnie arcybiskup metropolita łódzki Grzegorz Ryś. Powiedział on, cytując: „Tematem, w którym Jan Paweł II zawsze pozostanie ekspertem, jest jego wizja małżeństwa, miłości, erotyki, tego, co on sam nazwał teologią ciała. Mogą przemijać wieki, ale żaden ząb czasu nie nadgryzie tego nauczania”.

Pozwólcie, że dla uczczenia 40. rocznicy wyboru naszego rodaka na Tron Piotrowy przytoczę 3 szczególnie ponadczasowe elementy jego eksperckiego nauczania na okoliczność małżeństwa i erotyki.

Wszyscy wiemy, co nieśmiertelna myśl Wojtyły mówi o antykoncepcji, aborcji, in vitro, czy seksie przedmałżeńskim – ale mimo to założę się, że „teologia ciała” ma jeszcze potencjał zaskakiwania.

Czy wiecie, czego uczy nas o rozwodach, małżeństwach

niesakramentalnych i badaniu spermy?

Po pierwsze: o rozwodach nauczanie Jana Pawła II mówi oczywiście, że ich nie ma. Są natomiast dyspensy oraz akty stwierdzenia nieważności małżeństwa. Dyspensa dotyczy małżeństwa „niedopełnionego”, czyli takiego, w którym małżonkowie nie „podjęli w sposób ludzki aktu małżeńskiego przez się zdolnego do zrodzenia potomstwa”. Kościół, matka nasza, precyzyjnie podaje, co to znaczy, choć z naturalnej i bliskiej Bogu wstydlivości czyni to po łacinie:

„a) erectio membri virilis;

b) penetratio etsi partialis vaginae mulieris;c) ibique seminis depositio seclusa qualibet investigatione circa naturam ipsius liquidi seminalis”.

Po naszymu: musi stanąć, wsadzić i trysnąć tam, gdzie trzeba.

Co oznacza – uwaga, uwaga! – że nie tylko oral i anal, choćby uprawiany latami, pozostawia małżeństwo w sferze „niedopełnienia” – ale także seks w prezerwatywie czyni kobietę nieużytą i pozwala papieżowi rozwiązać małżeństwo „nawet na prośbę jednej ze stron, wbrew woli drugiej”.

Ale to pół biedy. Ciekawiej robi się, gdy małżeństwo zostało „dopełnione”, parka ma tuzin dzieci i nagle jedna ze stron dochodzi do wniosku, że już jej się nie podoba. Oczywiście to nie wchodzi w rachubę. Chyba żeby... – tu następuje długa lista warunków, które mogą, choćby po dziesięcioleciach, uzasadnić unieważnienie małżeństwa, np. „brak minimum małżeńskiego poznania” albo „pozbawienie używania rozumu”. Inaczej mówiąc, wystarczy, że facet powie, iż przed ślubem myślał, że ta baba jest zupełnie inna – co wszak w małżeństwach się zdarza – albo w ogóle nic nie myślał i biskup może już uznać, że ślubu w ogóle nie było. Powodem do unieważnienia ślubu jest też ukrywana przez jedną ze stron niechęć do rozmnażania albo brak planów życia w wierności. Ale to nie koniec.

Jak nauczał osobiście Jan Paweł II w wystąpieniu do Trybunału Roty Rzymskiej 21 stycznia 2000 r., powodem do uznania nieważności małżeństwa jest także fakt, iż jedna ze stron, zawierając je, nie była przekonana, że się nie rozwiedzie. Papież oczywiście wyraził to w typowy dla swego stanowiska faryzejski sposób, rozpoczynając od obowiązkowego wstępu o „bezcennej wartości nierozzerwalności małżeńskiej” – ale najważniejsza jest puenta: „błąd co do nierozzerwalności może w wyjątkowych przypadkach mieć skutek unieważniający zgodę”, gdy „błędne rozumienie nierozzerwalności wpływa w sposób determinujący na akt woli, ponieważ wynika z wewnętrznego przeświadczenia, głęboko zakorzenionego w umyśle osoby zawierającej małżeństwo”. Inaczej mówiąc – jeśli ktoś, żeniąc się, myślał, że jak będzie trzeba, to się rozwiedzie – to jak gdyby się nigdy nie ożenił. Serio.

Mało tego – jeśli ktoś taką właśnie metodą uzyska kościelny rozwód, to jego 20 lat obracana żona staje się nie tylko ładaczną, która dawała obcemu, ale też starą panną, a ich dzieci zostają bękartami. Co do tego ostatniego Kościół stosuje jakąś zawiłą konstrukcję prawości dzieci z małżeństwa „mniemanego” – ale wszak jest to wykwit katolickiej hipokryzji najczystszej wody. Skoro małżeństwa nigdy nie było, to dzieci są bękartami i tyle.

Po drugie: małżeństwa niesakramentalne to, jak powszechnie wiadomo, grzech niewybaczalny. Gdy ktoś mieszka ze starą żoną i wali ją w rogi 2 razy w tygodniu z wyłączeniem świąt kościelnych i państwowych, kiedy to dumnie dyma ma mszę wraz z całą rodziną, to wystarczy, że się wyświadcza i znów jest pełną gębą katolikiem. Z prawem „przystępowania do Stołu Pańskiego” – czyli przyjmowania komunii, co oczywiście jest wysoce istotne dla pozycji w społecznościach lokalnych. Dobra katoliczka wybacza zdradę – naucza Katechizm Kościoła Katolickiego: „bardzo zaleca się, aby współmałżonek pobudzony chrześcijańską miłością i zatroskany o dobro rodziny, nie odmawiał stronie cudzołożnej przebaczenia oraz nie zrywał z

nią życia małżeńskiego”.

Jest jednak sytuacja, która wykopuje wiernego od Stołu bezwzględnie i nieomal nieodwracalnie – i to jest życie w „związku niesakramentalnym”, czyli z osobą, z którą nie mamy ślub kościelny. Nieważne, że małżeństwo trwało 3 miesiące, zawarliśmy je jako gówniarze dekady temu, nieważne, że z nowym partnerem żyjemy od dwudziestu lat, wiernie, pokornie i w bojaźni bożej i nawet nie popatrzymy na prezerwatywę, co powoduje że mamy już tuzin dzieci – Kościół nie chce nas widzieć przy swoim Stole i basta. Chyba że...

No właśnie: chyba że przestaniemy się bzykać. I już jesteśmy z Bożą na czysto.

Tak orzekł Jan Paweł II w adhortacji „Familiaris consortio”. To absolutnie fascynujący punkt widzenia: katolickiego Boga nie obchodzi, jakim jesteśmy mężem, żoną, ojcem, matką, kogo kochamy, z kim dzielimy życie, majątek, radości i zmartwienia. Obchodzi go jedynie to, kto komu wsadza. Gdy ostatnio papież Franciszek w adhortacji „Amoris laetitia” poddał pod rozwagę dopuszczenie do komunii osób „w sytuacjach nieregularnych”, w „indywidualnych przypadkach”, ze względu na „okoliczności łagodzące” – polski Kościół zapłonął świętym oburzeniem.

I wreszcie – po trzecie – moja ulubiona nauka na temat spermy. Jest powszechnie uznanym – nawet Kościół kat. tego nie kwestionuje – iż przy trudnościach z tzw. poczęciem konieczne jest zbadanie objętości ejakulatu, liczby i ruchliwości plemników oraz prawidłowości ich budowy. Normalni ludzie walą konia do słoiczka w przychodni, ewentualnie powierzają to zadanie kobiecie w domu i potem gnają na sygnale, żeby dostarczyć towar, zanim wystygnie. Ale przecież masturbacja jest grzechem. Wprawdzie Katechizm Kościoła Katolickiego definiuje masturbację jako „dobrowolne pobudzanie narządów płciowych w celu uzyskania przyjemności płciowej” – a prawdziwy katolik w ogóle nie będzie miał przyjemności z takiej obrzydliwej czynności – ale Instrukcja Kongregacji Nauki

Wiary „Donum Vitae” z 1987 r. nie pozostawia wątpliwości co do tego, że „masturbacja, dzięki której osiąga się spermę”, jest „zabroniona z powodu dobrowolnego rozdzielania dokonanego między dwoma znaczeniami aktu małżeńskiego” i nawet „wtedy, gdy jest podjęty w celu przekazywania życia, akt ten jest pozbawiony swojego znaczenia jednoczącego: brakuje mu stosunku płciowego wymaganego przez porządek moralny”.

Druga racjonalna metoda to seks w specjalnej prezerwatywie do pobrań – czyli takiej pozbawionej środka plemnikobójczego – ale przecież prezerwatywa jest równie grzeszna jak trącanie kapucyna. Ostatecznie Kościół skłonny jest dopuścić biopsję najądrza, czyli wbicie grubej igły u podstawy fiuta i grzebanie nią w celu wyciągnięcia kilku plemników. Moralnie ta metoda nie budzi katolickich wątpliwości, ale mimo wszystko jakoś nie ma zbyt wielu chętnych.

I oto nagle, dzięki praktycznemu zastosowaniu teologii ciała Jana Pawła II, pojawiło się światełko w tunelu.

Użyję słów ojca profesora Jacka Salija, wybitnego znawcy tajemnic wiary, członka Sekcji Dogmatycznej Teologów Polskich, który doniósł o tym naukowym odkryciu w publikacji o doniosłym tytule „Wątpliwości moralne związane z badaniem nasienia”. Otóż „kondom służący do pobrania nasienia powinien być przedziurawiony”.

Zgoda – jeśli ktoś bada spermę, to można założyć, że nie ma „mentalności antykoncepcyjnej” – wyjaśnia ojciec profesor – ale „nawet tacy małżonkowie, nastawieni tak zdecydowanie prokonceptyjnie, nie powinni podejmować intymnego zbliżenia, które z góry jest zamknięte na możliwość poczęcia”. Bo przecież Bóg może się namyśleć w każdej chwili.

Zaiste: ząb czasu niestraszny jest teologii dziurawego kondoma.

Autorstwo: Agnieszka Wołk-Łaniewska

Zdjęcie: [Dennis Jarvis](#) (CC BY-SA 2.0)

Źródło: Nie.com.pl